



Mateusz Mazzini

Włochy prawdziwe

Podróż śladami mafii, migracji
i kryzysów



Świat pełen jest wyrw, załamów, pęknięć – zarówno tych fizycznych, jak i niewidocznych gołym okiem szczelin rzeczywistości. Aby móc docierać do tego, co niepoznane, stworzyliśmy Szczeliny, poświęcony literaturze faktu imprint Wydawnictwa Otwartego. Pragniemy zrozumieć otaczające nas zjawiska, dlatego oddajemy głos ekspertom, którzy najlepiej potrafią wytłumaczyć zawłości współczesnego świata.

Copyright © by Mateusz Mazzini

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Wydawca prowadzący: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Maciej Żemojtel

Wnętrze – projekt graficzny serii: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja i korekta: Studio NOTA BENE

Łamanie: Daniel Malak, Jędrzej Malak

Okladka – projekt graficzny serii: Łukasz Piskorek

Adaptacja okładki na potrzeby niniejszego wydania:

Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce:

Promocja i marketing: Elżbieta Husarz

ISBN 978-83-8135-402-8



SZCZELINY

Zajrzyj do Szczelin!

szczeliny.pl

facebook.com/szczeliny

instagram.com/szczeliny

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Podnieś ten puchar, kapitanie,
wysoko pod niebo,
bo dziś wygraliśmy wszyscy,
bo dziś jeszcze piękniej jest być Włochem.*

FABIO CARESSA,
komentator telewizji Sky, po zwycięstwie Włochów nad Francją
w finale mistrzostw świata w piłce nożnej w 2006 roku.

*Niektórych światel nie da się zgasić.
Dlatego spróbujemy,
Jeśli to czyściec, przynajmniej jest nasz,
Krzycząc prosto w niebo.*

LUCIANO LIGABUE
Urlando Contro il Cielo

Prolog

Słownik rodzinny

– Jak ci nie wstyd?

Udaję, że nie słyszę. Wcale nie udaję, że nie rozumiem. Ignoruję, wrzucam do przepastnego zbioru komentarzy bez znaczenia.

Wychodzę na balkon w desperackim poszukiwaniu chwili samotności.

Ale to pytanie idzie za mną.

– Jak ci nie wstyd? W tym domu chodzić w czymś takim?

Trafia do mnie. To moja koszulka piłkarska. Myślałem, że ujdzie płazem, w końcu Włosi dopiero co wygrali mistrzostwo świata. Wszyscy byli w ekstazie.

Najwyraźniej jednak tylko mi się wydawało, że wszyscy.

Nie chodzi zresztą tyle o sam sport, ile o nadruk. Sponsora. Konotacje polityczne. Koszulka nie jest reprezentacyjna, tylko klubowa. Właściciel klubu jest

miliarderem, tak samo jak właściciel firmy, której logo mam teraz na wysokości żeber.

Jeszcze chwilę temu była dla mnie źródłem największej radości od miesięcy. Prezent, drogi jak cholera, kupiony gdzieś na wakacyjnym szlaku. Nie dość, że powiew Zachodu, oryginał, a nie tandetna podróba, więc nie śmierdzi trzema miesiącami w kontenerowcu i na chińskim targowisku – to jeszcze w barwach, które sprawiają, że szesnastoletnie serce bije szybciej. W dzieciństwie potrafiło czasem bić tak mocno, że kibicowanie kończyło się łzami przy ważniejszych porażkach.

A teraz miałyby wywołać wstyd? Wolne żarty.

Tych napięć zawsze było dużo, choć większość stała się dostrzegalna dopiero po fakcie. Najczęściej po wyjeździe stamtąd, po powrocie do Wrocławia, kiedy znikał porządek dnia wyjęty niczym z zachodnioeuropejskiej bajki o dzieciach w szkole z internatem. Póki było lato – obowiązywał. Pobudka, śniadanie – i wyprawa do miasta. Choć punktów obowiązkowych na tym szlaku było sporo, żaden nie miał większej wartości od kiosku z gazetami. Tam zdarzało się nawet wejść w pogawędkę z kioskarką. „Corriere della Sera”, ale też „La Repubblica”, no i obowiązkowo gazeta lokalna. Prasa we Włoszech do dzisiaj wygląda, jakby przechodziła złoty wiek, wtedy nie było inaczej. Codziennie inny dodatek: krzyżówki, felietony, wkładka dla kobiet, czasem nawet książka historyczna. Grube

Włochy prawdziwe

jak kij bejsbolowy – już w dzieciństwie było to dla mnie abstrakcją, bo na jedną gazetę u dziadka spokojnie składałyby się trzy kupione u nas w Polsce. W kiosku rozgrywał się też pierwszy rozdział walki o dziecięcą, a później nastoletnią emancypację – jeśli ze sterty wystawała łososiowa płachta złożona na cztery, znaczy, że się udało. „La Gazzetta dello Sport” była pierwszą włoską relikwią, dosłownie i w przenośni. Miała wartość sakralną, ale jej posiadanie bywało okupione spojrzeniem, które na pewno nie wyrażało zachwyty.

Te dni miały całą masę dodatkowych bohaterów. Pierwszym, zawsze i wszędzie, był Silvio Berlusconi. Nic dziwnego, w końcu w tamtych czasach Włochy były nim, a on Włochami. Wystarczyło obejrzeć serwis informacyjny, żeby mieć na co pomstować do końca dnia. A skoro przy samym tylko obiedzie serwisów oglądało się aż trzy, paliwa starczało na całe dnie. Silvio był duchem tego domu, wpływał na zachowanie, nastroje, smak jedzenia. Nawet na dobór ubrań, bo z jakiegoś powodu wkładanie czerwonego swetra było uznawane za akt oporu, obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec jego władzy. Musiał kiedyś powiedzieć, że nienawidzi „czerwonych”, dlatego sweter włożony na koszulę miał być prowokacją. Oczywiście była to prowokacja bez jakichkolwiek konsekwencji, rzadko w ogóle opuszczała mieszkanie. W dodatku z „czerwonymi” kaszmirowy sweter ma mniej więcej tyle wspólnego ile demokracja z niewolnictwem, ale przynajmniej było o czym gadać i z czego się śmiać.

Obsadę uzupełniały postacie pojawiające się regularnie, choć bez większego celu. Romano Prodi, wspomniany ze względny rozrzewnieniem. Giuseppe Mazzini, który funkcjonował pod pseudonimem „Il Patriota”, tak jakby nadal, sto pięćdziesiąt lat później, był partyzantem ukrywającym się przed władzą okupacyjną. Choć z racji nazwiska autora tej książki czytelnikom może wydawać się to szokujące albo przynajmniej dziwne, on nigdy nie odgrywał pierwszoplanowej roli w rodzinnych scenkach z życia. Pobrzmiewał jak dalekie echo, bardziej jako protagonista alternatywnej historii Włoch, opowiedanej z rozmachem przy każdym obiedzie. Garibaldi klęknął przed królem, oddając mu władzę nad krajem? Wolne żarty, napluł mu w twarz i odjechał w siną dal. Giuseppe Mazzini uciekł z oblężonej Genui, bo ścigali go Austriacy? Też nieprawda – wiał, bo z niewłaściwą osobą wygrał w karty. Do tego parę rzekomo przemilczanych przez historiografię faktów o *Risorgimento*, zjednoczeniu Włoch w XIX wieku. „Il Patriota” był, owszem, elementem rodzinnej konstelacji, ale słabo widocznym. Nie dlatego, że ktoś go ukrywał, że nie rzucano na niego światła. Po prostu w tym codziennym rozgardiaszu, tak bardzo wyregulowanym, pełnym rytuałów ważnych „tu i teraz” niespecjalnie była przestrzeń, by edukować dzieciaki na temat ich przodka, wielkiego myśliciela, który jeździł po całej Europie, szerząc ideały demokracji. O ile w dzieciństwie brak tej wiedzy na nic nie rzutował,

Włochy prawdziwe

o tyle już później, w czasach chociażby licealnych, czytanie o nim przypominało filmową wręcz eksplorację tajemniczych dziejów rodzinnych. Potem przyszły własne wyjazdy i zderzenie z jego wielkością. Popiersia w Radzie Europy i rzymskiej Villa Pamphili, niezliczone place, mosty i ulice nazwane jego imieniem. W rodzinnej Genui nawet instytut jego imienia. Namolni znajomi, robiący tym popiersiom zdjęcia i szukający podobieństw w rysach twarzy.

W domu, w te letnie dni Giuseppe Mazzini był, owszem – ale tylko jednym z wielu bohaterów tła. Tak samo jak chociażby Mike Buongiorno, Gerry Scotti i tuzin innych gwiazd telewizji. Paru dziennikarzy, o których nie wiedziałem wtedy, kim są i co znaczą. Wujek Giacomo, jakiś przedwojenny krewny, którego archaiczny samochód zachodził przy skręcie, nie mieszcząc się na dolomickich serpentynach. No i Napoleon Bonaparte, którego małe popiersie stało na kredensie. Kiedyś przywieźliśmy z Elby zabutelkowany model statku, na którym cesarza Europy wywieziono na Świętą Helenę. Stał obok popiersia chyba po to, żeby Francuzowi nie było smutno.

Moim ulubionym bohaterem tych długich sierpniowych rozmów był jednak „wielki brytyjski historyk Thomas”. Jako dziecko myślałem, że to ktoś na kształt noblisty ze wszystkich dziedzin, archetyp przedwiecznego autorytetu. Ktoś, kto znał odpowiedzi na wszystkie pytania, a przynajmniej można było go w tej roli

dowolnie obsadzać. Każda dyskusja o polityce, historii, sprawach społecznych zawierała frazę: „jak napisał wielki brytyjski historyk Thomas”. Nigdy nie było ważne, co tak naprawdę napisał, w całkiem sporych zbiorach w mieszkaniu nie było ani jednej jego książki. Kiedy padało to nazwisko, z reguły wymiana zdań się kończyła. Nokaut, jednogłośnie zwycięstwo. Zawsze się zastanawiałem, czy ten Thomas jest jakąś ustną wersją jokera albo karty dającej wyjście z więzienia w eurobiznesie. Co właściwie sprawia, że pokonuje wszystkie inne figury, zwłaszcza figury retoryczne?

Nigdy się nie dowiedziałem, kim był „wielki brytyjski historyk Thomas”. Do dzisiaj nie wiem nawet, jak miał na imię, ale konstatuję, że tak naprawdę nie istniał. Szukałem go wielokrotnie, w umyśle moim, ojca, w zbiorowym mózgu internetu. Dopiero niedawno jednak zrozumiałem, że Thomas był po prostu projekcją. Jej źródłem nie była chęć wygrania każdej dyskusji, chociaż akurat to nierzadko było realną motywacją. Thomas był emanacją nieskończonego podziwu dla Wielkiej Brytanii jako ostoji cywilizacji. Zielony butelkowy rover 75 w garażu. Tyrady o niebotycznym poziomie brytyjskich uczelni. I ten pieprzony Thomas, który niwelował każdy argument. Intelktualna potęga Wielkiej Brytanii ucieleśniona w człowieku, który nigdy nie istniał.

Wszystko wydawało się tak idealne, harmonijne, że istniejący tam od zawsze zgrzyt natury estetycznej

Włochy prawdziwe

zidentyfikować udało się dopiero wiele lat później dzięki nabytej wiedzy i lepszemu rozumieniu świata. Zgrzyt wywołany wszechobecną krytyką kapitalistów, korporacji i wielkiego pieniądza – jak w przypadku tej koszulki piłkarskiej i implikowanego nią wstydu – w połączeniu z całą tą estetyką, kaszmirowymi swetrami, Napoleonem i wielkim brytyjskim historykiem Thomasem. Odsądzanie od czci i wiary króla odpowiedzialnego za dopuszczenie faszystów do władzy, ale też rzucane trochę żartem komentarze, żeby nawet na wycieczkę do Rzymu zabrać ze sobą paszport. Rodzice zapadali wtedy w krępujące milczenie, ja w niezrozumienie, bo paszport w tych wakacyjnych kontekstach przestawał być przecież potrzebny już po przejechaniu granicy z Niemcami, a więc jakieś kilka tygodni wcześniej. Opowieści o zabiciu „czterdziestu kruków” w czasie wojny, choć oczywiście nikt nie miał na myśli ptaków, ale też nikt tak naprawdę nikogo nie zabijał, w górskich lasach walka toczyła się inaczej i o co innego. Jakieś didaskalia na temat papieża, więcej czasu antenowego w tym domu miał Wałęsa. Polityki było akurat zawsze mnóstwo, ale w mówieniu, jakby działanie było czymś pozostawionym dla panów na szklanym ekranie. Ale faktem jest, że będąc tam, raz na zawsze nauczyłem się, jak po włosku jest „lewo” i „prawo”.

Równie ważna jak katalog bohaterów i przedmiotów czy miejsc jest w tych scenkach rodzajowych kwestia tego, czego w nich nie było. Nie było piłki nożnej,

poza pozbawionymi nawet cienia subtelności żartami, że prawdziwy „futbol na wysokim poziomie” rozgrywany jest na szczytach gór, a tam gra się „piłką z kamienia”, więc mogą nie dać rady. Nie było pizzy, już na pewno nie w porze obiadowej. Na kolację jeszcze można było wybaczyć, ale w środku dnia życzenie jej zjedzenia było jakąś zbrodnią kulturową, zachowaniem na pograniczu bycia turystą we własnym kraju, we własnym domu.

Nie było głośniejszej muzyki, rozmów do późnych godzin nocnych, skutera na szesnaste urodziny czy regularnych wakacji nad morzem. Nie było ani wielkich rodzinnych kłótni, ani teatralnych dramatów. Nie było porannej kawy w barze i dziesiątek rozmów z przypadkowo spotkanymi niby-znajomymi. Nie było wielkich kazań o pięknie, wadze dziedzictwa narodowego, nie było wklejonych w codzienny słownik odniesień do Boga i Madonny. Papierosowego dymu ani krzyków z balkonu, ani zachwyty nad życiem codziennym. Nie było dzikich pasji ani rodzinnego samozachwyty, który mógłby wynikać z nazwiska i jego znaczenia. Chęci wielkich odkryć, podróży, zmiany. Nie było rozmów o tym, co będzie. A może były, ale gdzieś na uboczu, pomiędzy ciężkimi meblami, za drzwiami, których czasami nie dało się otworzyć. Nie było niczego, o co po powrocie z wakacji pytali koledzy, a najczęściej tak naprawdę rodzice kolegów. Nie było stereotypu, nie było mitu. Czy było piękno – nie wiem. Piękno długo

Włochy prawdziwe

pozostawało kategorią iluzoryczną, a dzieci czy nastolatków piękno, powiedzmy sobie szczerze, nie obchodzi tak bardzo jak dorosłych.

Póki cały ten kraj, zróżnicowany tak bardzo, że właściwie co sto kilometrów ludzie posługują się skrajnie różnymi dialektami, był zamknięty w czterech ścianach ciemnego apartamentu i na trawniku przed górskim domkiem letniskowym, nie było miejsca na zastanowienie się, czy gdzieś w następnej wiosce, mieście, regionie jest może inaczej. Ani jak to wygląda z zewnątrz. Te wielkie pytania, czy jest w ogóle jeden kraj, czy jest jeden naród, czy oczyścił się z win wojennych, czy tylko zamiótł je pod dywan – to wszystko przyszło potem, kiedy relacja z Italią stała się indywidualna, prowadzona na własne konto. Zastanawianie się, czy Pasolini miał rację, pisząc, że faszyzm ideologii został tu zastąpiony przez faszyzm konsumpcji. Próbowanie wpisania w kontekst tych wszystkich krytycznych słów o Amerykanach, które padały przy letnim stole obiadowym. Na początku nie istniały problemy mafii, bezrobocia, migrantów, rozwarstwienia, korupcji, chociaż przecież były tam tak samo widoczne jak dekady wcześniej i dekady później.

Ta opowieść zmieniła nieco ton, kiedy wyszła z ram ściśle rodzinnych. Drzwi, choć ciężkie, dało się przecieź otworzyć, z upływem czasu stawały się zresztą coraz lżejsze. To, co za oknem, było natomiast tym bardziej dostępne, im więcej czasu mijało. Prawda ekranu